

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1843.

Poznań, dnia 15. Lutego 1843.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Zdaje się, że jak w całej Europie tak i u nas jest grono nabożnisiów, które chce popierać kościół, składać kollegium prokuratorów bożych, jak gdyby brakowało ludzi stanu duchownego, którzy się oddali naukom teologicznym, którzy otrzymali właściwe święcenia, którzy są na to, żeby otwarcie pracowali. Nabożnisiów wszystkich krajów potrafilibyśmy na klasy podzielić, aleby zaraz robiono domysły, że to o naszych mowa, a my nienawidzimy wszelkich osobistości, lecz uważamy za obowiązek zwracać uwagę na przedmioty bieżące, a ogólnego interesu. Sądzimy, że nic złego nie wyniknie, kiedy przynajmniej powiemy, z jakich to ludzi są rekruci nabożnisiów. Mężczyzna, który za młodu życie na pijaństwie, kartownictwie i oszukaństwie spędzał, zwykle po drodze rozpusty przeszedł do owego „marności nad marnościami“, z libertyna został fanatykiem. Jakim był sam niegdyś za taką uważa młodzież, chce jej fałszywemu kierunkowi zapobiegać i rzuca się do kierowania ducha czasu. Inny znowu wciskał się do spraw publicznych ważnych, a niezdatny i bez poświęcenia, musiał zawieść oczekiwania drugich. Przy tych poziomych wadach pielęgnował ich nierozdzielną towarzyszkę dumę, pielęgnuje ją jeszcze. Najlepiej mu więc przy ludziach, u których zawsze wolno ciężko upadać, aby tylko się podnosić, lub podnoszenie się udawać. Mężatka, co obowiązek swój złamała, wiatrem miłości miotana przez kraje biegła, wdzięki już potraciła, zwiędła i chce do siebie ciągnąć, najlepiej robi, skoro powie, że szuka prawdy, a pokutuje za to, że się zapóźno o nią kłopotce. Ludzie, co powyższe i im podobne przebiegli koleje, są zwykle ci, co w gronach nabożnisiów rej wodzą, ale nie masz wątpliwości, że pomiędzy nich

Rok czwarty.

namięsza się mnóstwo ludzi mniej głębokich a silniejszego uczucia, schorzałych, oszukanych przez podstęp i zdradę, niewinnie lub dla poświęcenia dręczonych, a nakoniec nieszczęśliwych kochanków, zwłaszcza, jeśli ich przedmiot zeszedł ze ziemi i tylko wspomnienie, o anielskich przymiotach zostawił. — Przy stronnictwie nabożnisiów, jak przy każdym inném, pokażą się i spekulatorowie pieniędzy. Jest taka bowiem przebiegłość ludzka, iż gdyby kto niewiedzieć jaką zasadę postawił i koło niej zaczął drugich skupiać, to pewno taki się znajdzie, co zaraz pomyśli, jakby przytém zyskać: czepia się i zarobku szuka.

Choćby nasi nabożnisie niewiedzieć jak pracowali, daleko gruntowniejsze dzieło niż Piasty przez K. S. napisali, dziesięć elementarzy wydali i sto cudów o pannie Komarownej, a dwieście o mentalikach, jak babom zdrowie przywróciły, roznęśli, jednak tylko wymiani będą.

Religii mają nas uczyć teologowie z powołania, a nie ludzie, którym prawnie, nawet biblii czytać nie wolno. O bajki w drobnych cudzikach nikt się dziś nie będzie ani kłopotał, bo ziemia, gwiazdy, słońce, ruszenie ręki za pomysłem, są takie cuda, że każdy zawołać musi: „Bóg tylko Wielki!“

O D A.

Powieść z czasów Bolesława Chrobrego

przez

Severyna Goszczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

W ocuczone ucho zabrzmiał, jak pobudka szatańska, odgłos słów pustelnika: powinnaś przyjść jutro,

albo nigdy! — „Idę.“ odpowiedziała Oda i zamiar był już niezachwiany. Z niecierpliwością czekała chwili sposobnej do tajemnego wymknięcia się z zamku, uchwyciła ją z radością, i oto jest już w biegu do jaskini. Droga świadomsza jak wczoraj, podróż jednak mniej pośpieszna. Spotykały ją dziwne wypadki, niby ostrzeżenia, niby przeszkody. Zaraz z początku przeleciał jęj drogę ptak nieznany, rzadkiej piękności. Stała mimowolnie, on usiadł; szła ku niemu, on zerwał się i ulatywał w stronę zamku. Długo nie mogła się mu napatrzeć, a ptak siadał ile razy stała, podnosił się jak tylko była przy nim, i zawsze ku zamkowi zmierzał, w końcu odpoczął na jednej z baszt zamkowych. Oda porzuciła nieużyteczną pogoń, wróciła na swoją drogę, ptak wydał żałośny śpiew i zniknął pod niebem. Dalej ujrzała sarnę: sarna nie pierzchnęła, zwróciła się ku idącej, wlepiła w nią piękne swoje oczy, dozwoliła zbliżyć się, pogłaskać, ulizwała jęj rękę, zawsze z wejrzeniem błagającym; potem igrając, okrążyła ją w skokach razy kilka, i biegła ku zamkowi, postawając i oglądając się na Odę, jakby ją zawrócić chciała. Oda odwróciła się od sarny i szła dalej swoją drogą; a smutny bek zwierzęcia długo było słyhać. Wkrótce zapomniała o ptaku i sarnie, stała już przed jaskinią.

Pustelnika nie było; szukać go wewnątrz niemiąła odwagi, nie czuła potrzeby. Jeżeli jest, posłyszysz ją, obaczy i nie omieszka wyniść. Wołała doczekać, zwłaszcza że potrzebowała wypocząć, bo upał mimo pory dnia przedzachodniej mocno jeszcze doskwierał, i zgrzanie spieszego chodu oblewało ją rześnym potem, a cień był gęsty i lekki wietrzyk powiewał ochłodą. Usiadła więc na głazie, oparłszy się o ścianę skały, bokiem do otworu jaskini. Nie upłynęło chwil kilka, kiedy w pieczarze ozwała się muzyka i śpiew pustelnika.

Początek brzmiał niejako radosnym witaniem: w dalszym ciągu duch muzyki zmienił się, przeszedł w narzekanie, w błaganie, a tchnął najgorętszym uniesieniem miłości. Dotąd słowa pomagały dźwiękom: wkrótce słowa ucichły, struny tylko dzwoniły; a w dźwięku ich zaszła nowa zmiana. Dyszało z nich jakieś lube omdlenie, jakieś upojenie rokoszne, aż do obłąkania. Słyszając je zdawało się, że muzyk odchodził niekiedy od przytomności, że palce na oślepie uderzały po strunach; niekiedy muzyka całkiem się rwała. Wszystko to nie przeszkodziło, ażeby Oda nie utonąła w niej całą duszą. Widać to było po niej, coraz widoczniej, im dłużej trwało granie. Zdawało się, że gorąco mocniej dokuczało, uciskało. Odrzuciła zasłonę z twarzy i piersi, rozpuściła przepasanie szaty; bujny warkocz

swobodnie rozplął się po ramionach z pod dziewiczego wieńca; twarz całkiem odkryta jaśniała rokoszową i piękną zachwycenia; piersi zaledwo przesłonięte wysoko się podnosiły, to nagle na długo się układały: w całej postawie malowały się upojenie, rokosz, zachwycenie. Muzyka ucichła w pieczarze, a w jęj uszach, w jęj sercu jeszcze brzmiała. Opamiętał ją szelest od pieczary. Zaledwie zdołała zarzucić zasłonę i spojrzeć w stronę szelestu, kiedy Pustelnik kilku szerokimi krokami stał już przy niej.

Porwał drżącą ręką rękę Ody i zmienionym głosem zawałał, wskazując na jaskinię: „Tam, tam wejdźmy. Bogi czekają.“

Te ruchy niezwykle, ten głos, przejęły Odę strachem: poczuła w nich jakieś niebezpieczeństwo. Ale Oda nie była z tych kobiet, które niebezpieczeństwo rozbraja. Pierwsze mimowolne wrażenie prędko przeminało; a na jego miejscu znalazła się odwaga i siła. Porwana raczej jak podniesiona z siedzenia silną ręką pustelnika, zaledwie stała na nogach, dała mu uczuć całą moc swojego oporu, podniosła dumne wejrzenie, sięgnęła ręką pod zwierzchnią szatę, i téjże chwili w rękę jęj nóż błysnął.

Pustelnik, czy to jęj spojrzeniem, czy widokiem noża uderzony, odskoczył o kilka kroków; zdumienie odebrało mu widać mowę na razie, bo nie prędko zawałał żałośnie: „O nielitościwa, za co ty mię tak dręczysz? Daj mi ten nóż!“

„Nie, ojcze, rzekła głosem pewnym, tego noża nikt mieć nie może oprócz mnie i Gromowida.“

„Odrzuć go od siebie.“

„Dla czegoż mam odrzucić?“

Pustelnik nie mógł natychmiast odpowiedzieć, po chwili dopiero przemówił: „Czy nie widzisz, że on ma podobieństwo krzyża. Możemyż z nim przemawiać do Bogów?“

Pustelnik zdawał się mieć słuszność; postrzegł zakłopotanie Ody i wtedy groźniej się odezwał: „Odo, ty żartujesz sobie z bogów, których łaski pragniesz. Ściągasz ich pomstę na siebie i na mnie. W jednej chwili zniszczyłaś wszystkie skutki mojej całonocnej modlitwy.“

Był to nowy cios dla Ody. Zapomniała o wszystkim co się działo przed chwilą i była znowu kobietą jak dawniej: „Jak to? zawałała, więc i dzisiaj z niczym powrócę?“

„Przez własną winę, odpowiedział pustelnik; Bogi są obrażone, przebłagać ich niepodobna, dopóki będziesz mieć przy sobie cokolwiek, coby przypominało ich przeciwnika.“

Oda zasmuciła się, spuściła głowę, lzy miała w oczach; jej nadzieje kupione tak drogo znowu się w nie rozwiały. „O srodzy bogowie, zawołała, jeszczeż wam niedość ofiary, którą zrobiłam!“

Nie była jednak w stanie rozstać się ze swoim nożem, nie mogła także odstąpić od zamiaru, któremu już tyle poświęciła. Stała jak posąg, niewiedząc, co począć; nieopodal siedział pustelnik, i on także jak posąg, niby wewnętrzna niemoc pozbawiła go wszelkiej władzy. Tak oboje długo milczeli.

Pierwsza zaczęła Oda zwracając się ku niemu z błagającym wzrokiem: „Ojczy, ty cierpisz przeze mnie, przebac. Ale wymagasz po mnie, czemu się moje serce opiera. Czyż moja w tym wina? Nie odbieraj mi przecię wszelkiej nadziei. Daj mi jeszcze tę noc do namysłu. Może przez tę noc i bogi przebłagać się dadzą. Powiedz czy mogę jeszcze mieć jaką nadzieję?“

„Tylko Bogowie to wiedzą“ — odpowiedział pustelnik smutno i uroczysto.

„Zapytaj Bogów, rzekła prostoduszna, zapytaj ich teraz, jeśli to być może. Trudno mi odejść w niepewności, w której zostaje.“

Pustelnik podniósł się: „o Odo! o Odo! rzekł głębokim głosem serca, niema czegobym dla ciebie nie zrobił. Bądź miał za to choć wdzięczność twoję.“

„Do śmierci“ — odpowiedziała.

„A więc pójdę, zapytam bogów raz.“

To wymówiwszy zniknął w mroku jaskini. Długo nie było go widać. Przez ten czas Oda słyszała tylko przytłumiony głos jego, przytłumione westchnienia, łkania: domyślała się, że Bogowie byli mocno obrażeni i uporni w gniewie. Wyszedł nakoniec i głosem uroczystym przemówił: Odo, wola Bogów jest taka, a wyrok ich nieodmienny. Zobaczysz męża jutro, jak tylko księżyc w dolinę zajrzy, ze szczytu Smytni. Przyjdiesz w ślubnej twojej sukni. Nie będziesz mieć przy sobie żadnego znaku nowęj wiary, żadnej broni. Bogowie chcą uroczystęj cześci i ufności. Czy przystajesz na to?“

Po krótkim namysle Oda przyrzekła.

Pustelnik zawołał z widoczną radością: „Dzięki ci, Odo, za twoję uległość. Oby przez cały ten czas Bogowie byli z tobą. Jutro więc, o zmroku, czekam na ciebie tutaj.“

Oda pożegnała pustelnika i zwróciła się ku domowi: możnaby mniemać, że w smutku, w niepokoju wewnętrznej walki, jak wczoraj, albo w nieufności ku pustelnikowi, a przynajmniej w cierpieniu, że jeszcze o jeden dzień musi przewlec się spełnienie ulubionego jej zamiaru, pocieszenie się widokiem męża, bynaj-

mniej. Ostatnie widzenie się z pustelnikiem wprawiło ją w stan niespodziewany od niej samej, a może i od niej samej niepojęty, którego zagadki trzebaby szukać chyba w tajnikach serca kobiecego. Myśl jej nie mężem już głównie, ale pustelnikiem była zajęta. Zaczém straciła jaskinię z oczu, niemogła wstrzymać się, aby nie obejrzała się na nią razy kilka, a za każdą razą widziała pustelnika klęczącego z twarzą zwróconą ku niej, z rękami wyciągniętymi w jej stronę: zapewne modli się za nią, cierpi dla niej. I zaraz obok tej postaci pokornej stanął jego obraz groźny na początku widzenia się. Co tam było siły, co ognia, co namiętnego uniesienia, a jednak rzucił to wszystko pod jej nogi na jeden niechętny rzut jej oka, w proch zamienił się przed nią. Niepodobna niepodziwiać jego męskiej woli, niepodobna nielitować się nad jego pokorném cierpieniem. A w jego graniu, w jego śpiewie, ile biegotości, ile czucia. Ktokolwiek on, w jakiejkolwiek objawi się przemianie, człowiek — to niezwyčajny, nieobojętny; jakiegokolwiek obudza uczucie, obudza je w stopniu wysokim, a z nich zlewa się jedno, które nie może być nienawiścią, ani zimnym podziwieniem. Uczucie jednak Ody nie było jeszcze miłością. Wszakże i to pewna, że miłość dla męża słabła przy niém, że przy niém, poczęła gasnąć myśl o mężu, a przynajmniej tęsknota za nim złągodniała. Oda przyjdzie znowu jutro, wypełni wszystko co pustelnik zalecił, aby nie obrazić bogów, ale gdyby coś nowego przeszkodziło czarom i zawiodło nadzieję, Oda gotowa pocieszyć się myślą, że spędziła chwil kilka w towarzystwie pustelnika, że przez to będzie miała powód jeszcze raz go zobaczyć. W takiem usposobieniu wróciła do domu i wyglądała naznaczoną godzinę: mara męża ma odtąd służyć za przewodnika do rzeczywistęj uciechy.

IV.

Doba właśnie upływała od ostatniej rozmowy Ody z pustelnikiem. Słońce dążyło do zachodu, a na dalekiej drodze, wijącej się brzegami Dunajca, wzbijały się kłęby pyłu pod kopytami konnego orszaku Gromowida, i zbliżały się ku stronie Kościeliska. Gromowid powracał nareszcie. Kijów wzięty, wyprawa ruska dokonana, Gromowid okazał wszędzie znaną dawną waleczność, nie opuścił żadnej sposobności, aby wynagrodzić ojczyźnie dług zaciągnięty przez gnuśną nieczynność. Jednak ani wrzawa, ani ruch wojennego życia, nie zdołały zagasić myśli o anielskiej żonie, osłabić tęsknoty za nią. Dla tego skorzystał

z pierwszej przerwy bojów, i upoważniony zezwoleniem króla, puścił się ku domowi, choćby na dni kilka, choćby na chwilę. Nie tracił zapewne czasu w podróży. Pędził ile mu służyły siły jego konia i własne. Z radością przypadł nad brzeg Dunajca. Wieczór się zbliżał, a zamek jeszcze daleko. Zostawił czeladź z ciężkim podróżnym sprzętem, a sam puścił się przodem, w jak najłżejszym uzbrojeniu, z krótkim tylko mieczem przy boku i z łukiem przez plecy. Mimo to, ani lekkość jeźdca, ani nogi konia niewystarczyły sercu rwiącemu się wciąż naprzód. Słońce zaszło im na równi z szją Zakopanego. Gromowid przysporzył biegu, ale koń wycieńczony ostrogi nawet nie chciał już słuchać; dobył jednak ostatnich sił na rozkaz Pana i wkrótce rozparł się śród drogi. Gromowid westchnął ciężko nad koniem, westchnął ciężiej że nie uściska żony tak prędko jak pragnął, jak miał nadzieję i biegł dalej pieszo. Zaczynało już zmięrczać, kiedy przechodził samorodną bramą kościeliska; zdwoił krok po dolinie, ujrzawszy światelka domowe; ale przykra góra na której stoi zamek, zmusiła go zwolnić pospiech. Darł się w najbliższym kierunku, świadomy dobrze miejsca. Mniemał tym sposobem skrócić drogę. I w rzeczy samej znalazł się niebawem blisko zamku, ze strony małej furtki. Przez nią wejść umyślił, ale znużenie, wzruszenie wewnętrzne, zmusiły go zatrzymać się na chwilę i wypocząć. Zaledwie stanąwszy, oparł się o drzewo, kiedy się furtka otworzyła i wyszła z niej postać w bieli. Księżyc właśnie oświecał małą polankę, ku której postać biała posuwała się. Pod blaskiem księżyca, chociaż bijającym w bok postaci odwrócony od Gromowida, poznał on z podziwieniem Ode, krzyknął z radości, chciał się rzucić naprzeciw niej, ale w témże mgnienu oka, wypadła z gęstwiny dzika koza, ogromny puchacz uderzył w nią piorunem, ujął w szpony, podniósł w górę, i niemając zdaje się dosyć siły na taki ciężar, upuścił ją ledwie już dyszącą tuż przed nogami Gromowida. Biała postać krzyknęła z przestachu i zgasła w gęstwie jak błyskawica. Jakkolwiek Gromowid pomieszany był tym dziwnym przypadkiem, jednak myśl jego wróciła natychmiast do zniknionej Ody. Widział on w którą stronę pobiegła, tam więc udał się jak najspieszniej: a za chwilę ciemność i cisza nocy zakryły go całkiem.

Pod ten czas pieczara pustelnika zajmujący przedstawiała widok. W pośrodku jej, na wielkim kamieniu, gorzał ogień. Dokoła ścian przegłądały z cienia potworne posągi bożyszcz pogańskich, świeżą krwią ofiary obryzgame. Przed ogniem stał, nie już pustelnik w ubogiej włosienicy, kryjący twarz w kapturze, ale kapłan pogański, mąż urodziwy, sre-

dniego wieku, ze znaczącym obliczem, ożywionem w tej chwili przez jakieś groźne i dzikie natchnienie. Biała, obszerna kapłańska szata, spięta bogatym pasem, przydawała powagi okazałemu wzrostowi i silnej budowie całej postawy: głowę ozdabiał kapłański wieniec, a jeszcze bardziej piękny włos długo rozpuszczony. W ręku była czara krwią napełniona: ustami belkotał coś niewyraźnie, znać pogańskie modlitwy. Pobożna jego żarliwość coraz mocniej rosła, w miarę tego głos podnosił się to w jękach, to w głębokich westchnieniach, którym nierazdo wtórował groźny zgrzyt zębów. Zadyszany, półomdlały uciął; w grobowém milczeniu, z napiętym uchem wylał czarę na ogień; prysnęły żary, krew zachwirczała, zewnątrz pieczary rozległ się dziki śmiech puchacza, i ciszej, słabiej chrypienie jakby dławionego gardła. Naraz wszystko uciło; krew skwirczała coraz ciżej; drzewa stosu piszczwały coraz boleśniej, coraz rzadziej; płomień to wzmagał się, to przygasał. Guślarz poglądał razem to na płomień, to w potworne bożyszczka, które przy tym blasku niejednakowym, to rosły, to malały, zdawały się żyć, ruszać się, aż w końcu wszystko wróciło do stanu zwyczajnego; ofiarny obrzęd skończony.

Guślarz zbadał swoje Bogi. „Dzięki wam, potężne bogi ojców! zawołał; ona przyjdzie, może już idzie. Wykonam com jej przyrzekł; stanie się jak pragnąłem. Ujrzy męża; ale między nimi boleść, rozpacz, śmierć. Biada ochrzczonej duszom? Co za chwała dla starych bogów! Jaka radość moja. Ona musi być naszą, musi być moją. Ciescie się bracia wierni bogom ojców. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo nad przybylcami cudzego nieba!“

Zaledwie domówił tych słów, kiedy przed pieczarą, pomiędzy zaroślami, dał się słyszeć szelest gwałtowny, jakby szybko bieżącego. Guślarz zadrzał; otóż i ona! i wyskoczył z jaskini. Nie omylił się, była to Oda, ale nie taka jakiej się spodziewał: zadyszana, przerażona, blada, bez głosu prawie, bez sił, w nieładzie włosy, wieniec ledwo zaczepiony trzymał się tyłu głowy.

(Dokończenie nastąpi.)

UCHO i OKO.

(Dalszy ciąg Osteologii.)

Capricioso.

Nader sztucznie przez naturę ucłonkowane nogi i ręce, podane na zewnątrz do czynu, pracy i postępu, są przecież tylko wykonawcami wyższej woli, samemi

tylko są narzędziami człowieka, środkami do dokonania celów, które jakaś wyższa władza w nim objawia i podaje. Na siedliska tej wyższej władzy, zbudowała natura człowiekowi warowne zamki: pierś i czaszkę, siedliska rozumu i uczuć, a po lekarsku móżdżek i serce, po anatomicznemu mleczuk i kawałek mięsaka.

Opatrzmy nasamprzód te warownie. Nie zbyt wielka, ale za to najmocniej ufortyfikowana jest głowa. Okrągła i sklepiona jak turma z najtwardszego rdzenia kościowego. Największe wypukłości na tył i na przodek podane. Niech tam fizyologowie domacywiają się we mleczuku móżdżkowym tych lub owych władz duszy, nam się widzi, że to dwa wielkie areopagi przeszłości i przyszłości tam zasiadają, z których się układają żywot i dzieje tak człowieka, jak rodzaju ludzkiego. A biorąc doświadczenie z ludzi i ludów miało czołowych albo bezczelnych, podobno w tyle pamięci, przodem rozumu szukać należy. Teraźniejszość łączy środkiem przeszłość z przyszłością, tak jak pamięć i rozum imaginacja wiąże. Na tył zarzucone nasze skarby, nasze pamiątki, w mocnych sklepieniach ukryte; ale przodem sterczą bastiony podane naprzód, przeciw nieprzyjacielowi, najeżone dwoma rzędami haubic i móżdżerzy, i osaczone czatami wszystkich zmysłów.

Od boków na prawo i lewo najdalej posunięte podśluchy. Postawione są na linii terażniejszości, bo przyszłości niemiej ani przeszłości zamarek dośłyszeć nie można. Kierunki ich skierowane w tył, bo wszystko słyszane już stało się przeszłością i wiedzą. Na tym kanale, kędy się dośluchy odnoszą do głównego ataku, ukryci dobosze, biją w bębunki słowa terażniejszości.

Czemuż to na nie nieraz rozumy głuche, ręce i nogi opuszczone, gdy jęki uciśnionych nieraz się odbijają o czaty, gdy ludy ocknione przebakują, a potrzeby czasu na całej linii posyłają sobie hasło i odzew? — albo, co większa, gdy namiętność, fanatyzm, ocieśnienie z odgłosem hurra! niech żyje przeszłość leniwa! precz z nowością! precz z postępem i ruchem! idą do szturmowania na zdobycie rozumu?

Uczcie się osteologii i pamiętajcie, że nie napróżno na dwie strony rozstawiło opiekuńcze przyrodzenie rozumowi czaty, aby być baczny na wszystko; bo wrzawa jeszcze nie jest czynem, hurra jeszcze nie jest wzięciem forticy. Ale czyn już odstać się nie może. Bądźcie zatem bacni, słuchając i badając na prawo i lewo, aby się nie stało, co się stać nie powinno. Atoli nie bądźcie porywcy, słuchajcie oraz od dwóch stron, i rozważajcie. Może nie nadarmo na dwie przeciwne okolice rozstworzone sluchy. Człowiek zawsze być powinien na baczności, dla tego mu czas

nieustannie bębni w uszy, a źle czynią, którzy na ten głos zatykają je sobie.

Kto to przysłowie wymyślił: „jednym uchem wpuścić, a drugim wypuścić“, nie był osteolog. Natura tego tak nie urządziła. Nie ma tam jednego kanału od ucha do ucha, ale są dwa osobne, tak, że co jednym wejdzie, drugim wyjść nie może, i nie powinno. Czyńmyż zatem tak, jak natura przykazała. W najgorszym przypadku trzymajmy się dawnego złotego prawidła: „słuchaj wszystkiego, wybieraj najlepsze.“ Wszakże gdy się wszystko odzywa, nie ma co wybierać.

Częstokroć byłoby zbrodnią, gdybyś to, coś usłyszał, i co jak w ataku zaalarmowało rozum twój, chciał na wiatr drugim uchem wypuścić. Niechby to była zdrada kraju, zdrada zaufania publicznego; niechby to był mord moralny, dokonany na najświętszych rzeczach, na pokoleniach przyszłych, na dzieciach naszych! — A jednak ilużo nie takich, co czapkę na ucho głębiej wmięsi i jak Piłat rękę obmyje! To są moralni i polityczni głuchoniemi, na jakich się tu i owdzie ludy systematycznie wykształcają; — są to tchórze narodowi, nie warić mieć głowy z uszami na karku.

Są znowu inni, co przeciwnym błędzą przymiotem, choć równie z małą jak tamci duszą. Ci i owszem nadstawiają wszędzie słuchów, ale, co usłyszą, nie swemu to rozumowi donoszą, ale obcemu. Nikczemnicy sprzedajni i podli: w pierwszym rządzie stoją szpiegowie, płatni różnego rodzaju jurgeltem; upiory obrzydłe rodzaju ludzkiego, co krew ssają niewinną, a nieszczęściem rodzin się tuczają, dla których najmilszą muzyką płacz osieroconych dzieci za życia ojców, i owdowiałych żon za życia mężów. W drugim rządzie stoją oszczercy z żółtym obliczem, z językami żmii, z wzrokiem Mefistofilesowym, otoczeni zgrają kądli ujadających. W trzecim nareszcie szeregu plotkarze płci obojg, z próżną głową i próżnym sercem, u których praca z rąk przeszła w język, a cierlica byłaby mogła godłem symbolicznym ich rzemiosła.

Natura tworząc człowieka, śnać nie wiedziała, że tacy ludzie się wylęgą, co słuchają wszystkiego skwapliwie nie dla siebie, ale dla drugich, boby była ich akustyczne narzędzia inaczej zbudowała. Kanały ich słuchów byłaby skierowała w przeciwną stronę, na zewnątrz, dla tém łatwiejszej komunikacji do cudzej wiedzy, bo oni uszy noszą dla drugich, nie dla siebie.

Ludzie ci bez rozumu i serca, przemienili i owszem cały swój organizm, w ustrój ucha. Są to uszy chodzące, i wciskające się tam wszędzie, gdzie się dwóch lub więcej zgromadziło. Dziś już żaden Dyonizyzus nie biedzi się nad zbudowaniem sławnego

Dyonizyuszowego ucha, bo takie uszy dziś kupić sobie może za pieniądze, i nawet tyle nie zapłaci, ile tyran Syrakuzy zapłacił za nie mularzom i architektom: — a ma tę korzyść, że tamten musiał ludzi napędzać do swego ucha, które samo poruszać się nie mogło, a najemne uszy idą same wszędzie, gdzie trzeba. Od lodów północy można je posyłać i lądem i morzem i do Paryża, i do Ameryki.

Nie ma nic usłuszniejszego nad takie ucho szpiegowskie. Jak noga w rozmaite położenia i skoki się ułożyła, jak język w wymawianie rozmaitych języków się włożył, tak ucho, na nieszczęście z natury sprężyste i giętkie jak gummi-elastyka, nauczyło się układać, w rozliczne pozycye. Sztuka to nie lada, i też nie od wczoraj dopiero ćwiczą się w niej pewni ludzie. To nastroją uszy jak rogacz w lesie, gdy stanie i słucha czy to łoskot drzewa po kniei się rozlega, czy też strzelcy się czają; — to jak zajęc stulą słuchy i przysiadą, aby ich jak szarków przy ziemi widać nie było; — to spuszcza uszy, jak wyżeł wierny panu swemu, gdy do kuropatw stoi — to udają klapiuchów z krzyżem na grzbiecie, aby głupich oszukać i wywieść w pole; — to wreszcie strzyżą uszami jak koń odważny, co do boju parszcza, i nogą ziemie grzbie, a jak hyeny wygrzebują nawet umarłych z cmentarza narodowego. I któżby te rozmaite metamorfozy uszów wypowiedział!

Ale wracamy do warowni czaszkowej, od której nas jęj czaty za daleko odwiodły. — Pod cytadelą przyszłości, tuż pod sklepieniami rozumu, dwie głębokie jamy wyglądają; małe nieznaczne otwory prowadzą do mieszkania muzgu. Z tamtąd rozum na świat dwa teleskopy swoje wymierzył i przesuwając je po rojach przedmiotów natury i spraw ludzkich niby po rojach gwiazd krążących po niebie. Z tych to peryodycznych i nieperyodycznych obiegów i krążeń rzeczy ludzkich, kombinuje wypadki, oblicza przyszłości, i na raz przepowie komętę ogniatęgo; co przyjdzie z miotłą lub miotłą na świat, by ochłostać niesforne, krnąbrne i uparte tej ziemi. Jak astronom obserwujący nocą w gwiazdarni nie jeden rozum, gdy śpią ludzie, jedni znużeni ciężką pracą i trudami, a drudzy śpią w lenistwie, w roskoszach, w chciwości robienia tylko majątku — on obraca teleskopy, na wszystko co się dzieje, uważa, bada, w zrównania zestawia i wypadki wyprowadza — a czyni to, albo z miłości do ludów i ich wolności; — albo z miłości siebie, aby się kosztem milionów wywyższył. W pierwszym działaniu zbliżony człowiek do Boga i jego opatrności czuwającej; w drugim do szatana, co wszędzie rozstawia sieci, dybiąc na dusze ludzkie.

Lecz nie każda głowa jest obserwatorium, nie każdy rozumny, astronomem. Inne rozumy, i takich jest więcej mają się za generałów, mają w swych głowach sztab swój własny, i wytykają z nich lunety obserwując własne i nieprzyjacielskie obozy. Co się po za nimi dzieje, to ich już nieobchodzi. Należą tu ludzie ambitni, zaradni, przezorni na przyszłość, kochający najprzód siebie, i jeszcze raz siebie, i dwudziesty raz siebie, a dopiero kraj i dobro publiczne. U nich prima charitas ab ego, po naszymu bliższa koszula ciała. Maxymą ich działań i życia „Najprzód mnie niech będzie dobrze, a potem niech się i w ojczyźnie dobrze dzieje. Tym generałom najprzód zatem idzie o to, aby zdobyć dla siebie pozycją, jako to posadę, urząd, sinekurę, gratyfikacją, zdobywszy pozycją usiłują wygrać bitwę, nie dla chwały i dobra kraju, ale dla łupu. Na tych dopiero trofejach — na których, zbliżywszy się, doczytasz coś nakształt Lis...za... albo ujrzyz złote i srebrne oblicza Monarchów, — na tych dopiero laurach wypooczywają, i robią pokój albo zawieszenie broni. Do tego czasu zaś wciąż manewrują, wciąż plany układają to tu to tam atakują, to przez podjazdy, to wstępnym bojem uderzają, a lunety wciąż w robocie.

Największa massa ludu atoli jest z wzrokiem osłabionym przez starość albo tępem przez nieukształcenie i nieudolność. Oczy ich jak okulary na nosie staruszki, któremi xiążkę do nabożeństwa czyta, a czyta i choć się już w jęj ręku z użycia zdarła i zzółkła, ona zawsze przecie okulary kładzie aby na niej przez nos modlitwę odmówić, o tych to ludziach podobno powiedzieć można, że patrzą, a nie widzą. Na tę ich ślepotę inni też rachują. Bo gdyby te miliony ócz patrząc się, widziały to wszystko, co się dzieje, biadaby była i wielka biada nie jednemu. I możeby też nie jeden łotr z wytartem czołem, choć i nie przez wstyd to przez bojaźń świętokradzkie powściągnął ręce, nogi i język, nie robił czego nie trzeba, nie chodził, gdzie nie powinien, nie gadał, gdzie milczeć wypada — gdyby wiedział, że tysiące, i miliony ócz, co na niego patrzą, widzą.

Alić on wie, że tych kilku astronomów, co z swoich gwiazdziarni przez teleskopy obserwują, świata nie przewrócą, że jak gwiazdy, tak rzeczy będą chodziły swoim torem. Że, co ten tam przez teleskop dojrzy, inni przez perespektywy i okulary nie obaczą, a nikt mu do jego gwiazdziarni wdrapać się nie może — dla tego pewien swego, broi jak broił.

Jest jeszcze jeden gatunek ludzi, którym owe otwory pod sklepieniem czaszki tylko za okna służą, aby się w nich wyłożyć strojno, i patrzeć na przechodzą-

cych. Są to ludzie pokoju, którym się ani nie chce być generałami, ani astronomami, którzy świat uważają za raj Machometa z pięknymi huryskami, a głowę swoją za ciemne kazematy, z których się na świat wykradać należy, i wykradają się też wiecznie. Epikurejcykowie żyjący samą teraźniejszością, i szukający samej rokoszy, i owego szczęśliwego *far niente*. Że do tej kategorii należy w części i płeć piękna, nie jej to może wina, kiedy ją tylko piękną nazwano. Wszakże piękne kwiaty w doniczkach wystawiają się w oknie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — We Wrocławiu wyszedł tom I. dzieła pod tytułem „Parafiańszczyzna.“ Autor powiada w przedmowie, że jest naśladowcą Leszka Dunina Borkowskiego, który pod tym samym napisem zamieścił artykuł w Dzienniku Lwowskim. W jakim duchu i jakiej treści być może ten pierwszy tom Parafiańszczyzny, wykazują dostatecznie te słowa przedmowy: „Tymczasem uczyła historia i uczy, że świat wielki wprowadzał najpierwszy cudzoziemczynę, najpierwszy pogardzał ojczystymi rzeczmi, wyśmiewał ojczyste zwyczaje, najpierwszy trwonił na okazałości i zbytki, najpierwszy pognebiał i niewolił, najpierwszy uniewiniał rozwiązłość i zepsucie, najpierwszy przędawał się i zdradzał, najpierwszy wzywał pomocy i opieki obcych przeciw własnym współziomkom, najpierwszy zapominał o klęskach ojczyzny, najpierwszy się zaprzyjaźniał z ciemiężycielami narodu, bywał i bawił się w ich domach, nadszakał i pochlebiał wrogom, uganiał się za ich zaszczytami i łaską; jednem słowem, najpierwszy chwycił wszystko, cokolwiek przyczynić się mogło do upadku ojczyzny i zepsucia spółziomków.“ Te są słowa autora w przedmowie. Nie jest naszym celem bronić złego. — Prawda, że szczyt narodu miał te wady, aleć było winą całego narodu, że takie wady mógł cierpieć u swego szczytu. Trzeba to już zapomnieć tym, którzy się stali innymi; nie można jednak brać za złe autorowi, który, jak się zdaje, żyje otoczony jeszcze tak obrzydłym żywiołem. Co się zresztą tyczy samego dzieła, jest napisane tak interesownie, że w czytaniu żal je odkładać, kiedy przyjdzie sobie przerwać. Styl prosty, potoczny i piękny. Nazwy osób są krotofilne: panna dawniej daty zowie się Niezabudką, stary galant od swego ubrania Kołnierzykiem, pani podług żurnalu mód Obrazkiem, inna z czerwonym nosem, Gilem i t. d. Samo przed-

stawienie bardzo plastyczne: osoby tak się roją po saronie, że każda dobrze utkwii w pamięci. Szkoda wielka, że się do tego dzieła wcisnęły niektóre wyśłowienia i że autor na końcu niereligijnie wystąpił.

Z Paryża. — Pewna część emigracyi przedsięwzięła dla dzieci wychodźców założyć szkołę narodową. Był do tego napisany projekt pompatyczny, bo wcale nie przez znawców i zapowiadający niesłychane koszta. Brak funduszków, a wytrwałość w zamiarze, nadały zakładowi całkiem inny, praktyczniejszy kierunek. Dzieci polskie oddano do szkoły w Châtillon-sous-Bagneux, milę od Paryża; będą się uczyły razem z francuzkami, ale korrepetytor Polak powtarzanie nauk, ma odbywać w narodowym języku. W miarę funduszków przydani zostaną inni nauczyciele Polacy. Z pięćdziesięciu dzieci wybrano piętnaście, które na koszt Towarzystwa, w szkole zostały zamieszczone.

Nowa opera komiczna Scribego i Auber'a: „la part du diable,“ którą w Paryżu temi dniami po pierwszy raz wystawiono, więcej się podobała, aniżeli ostatnie opery, które na spółkę ci autorowie napisali. Scribe wziął treść do niej ze swęj nowelli „Carlo Broschi.“ Rzecz się odbywa w Hiszpanii pod Ferdynandem VI. i król także występuje jako melancholik, któremu świat cały obrzydł. Zakochał się przecie w młodej dziewczynie której nigdy nie widział, ale słyszał śpiewającą. Dziewczyna nazywa się Kasilda, trudni się robieniem stroi i w niej kocha się także jakiś ślachcic Rafael. Kasilda ma brata Carlo, przebiegłego chłopaka, ten staje się polubieńcem królowej. Rafael zniechęcony przeciwnościami, zapisuje się diabłu. Diabeł przychodzi a nim jest Carlo, który przypadkiem usłyszał wzywanie Diabła na pomoc, odgrywa rolę diabła szczęśliwie, prowadzi intrygę i kończy ku zadowoleniu wszystkich. Muzyka do tej opery ma być bardzo przyjemna i kładą ją za równo z pierwszemi utworami Auber'a.

Znany francuzki malarz de la Roche miał w ostatnich czasach dwieście uczni, z których każdy płacił miesięcznie 30 franków. Młodzież ta jednak nadzwyczaj dziko postępowała sobie, a najwięcej cierpieli nowo przybywający uczniowie. Jednego z przybyłych tak dalece niesfora ta młodzież prześladowała nielitościwie iż ten ze smutku i zgryzoty zwaryował i umarł. To tak dalece szkodziło zakładowi temu malarzy, iż de la Roche widział się zmuszonym rozpuścić swych uczni i zamknąć swą pracownię.

Zmiana losów jednej rodziny. Angielski jeden dziennik opowiada o pewnym starcu w Szkocyi, który od wsi do wsi chodził i naprawiał na cmenta-

rzach nagrobki. Dnia jednego znaleziono go na drodze nieżywego. Rodzina starca przeszła przez osobliwe koleje losu. Jeden z synów jego udał się do Ameryki i usadowił się w Baltimore, zebrawszy tam znaczny majątek. Miał syna, który ożenił się z bogatą amerykańką, ta przeżyła swego męża i później poszła za Markiza Wellesley. Córka jego połączyła się węzłem małżeńskim z Hieronimem Bonaparte, a po rozwodzie, poszła za konsula francuzkiego w Baltimore, Serrurierego. Cóżby ów starzec powiedział na to, gdyby dziś wdowę po wnuku swoim ujrzał synową Wellingtona, a wnuczkę swoją, królową westfalską i synową Napoleona.

W Kwietniu tego roku nastęcza się sposobność dla wielu miłośników sztuk pięknych nabycia najpiękniejszych i najozdobniejszych dzieł sztuki, bo w tym miesiącu będzie przedana część sławnej galerii kardynała Fesch w Rzymie.

M O D Y.

Paryż, dnia 5. Lutego 1843.

Toalety téj zimy są w wysokim stopniu wytworne; nie masz w garniturach balowych stałej, oznaczonej mody i wszystko zawisło od dobrego smaku. W ogólności jednak powiedzieć można, że więcej są poszukiwane buchaste garnirunki, aniżeli gładkie falbany, ukosy i t. d.

Śród wielu uroczych ubiorów na wielkim balu, ujrzelśmy suknię z różowego poux de soie, z wystrojem w kształt fartuszka z angielskich koronek w trzy falbany; ostatnia, t. j. najbliższa przepaski, była węższą od dwóch poprzedzających. Dolna falbana okolała w okrąg suknię. Na właściwej powłóce znajdowała się tunika z różowej mory, która do pierwszej falbany dochodziła i z przodu po każdej stronie fartuszka ujęta była w przepaskę, jak to widzimy na portretach wieśniaczek z czasów Ludwika XVgo. Mała peleryna z mory, z wązkim garnirunkiem koronkowym, spływała po gładkim i usznurowanym staniku. I rękawy bardzo krótkie, były orzucone koronkami.

Daléj widzieliśmy suknię z białego tulu, ze spodnicą z białego atlasu i podwójną tuniką. Spodnia suknia z boku otwarta i buketami, tulowemi bufkami z rulkami atlasowemi spięta. — Inna jeszcze suknia z jasno-lilijowego poux de soie, ślicznie wyglądała, powłoka u niéj z boku otwarta, na spodnicy z białego atlasu.

Suknie balowe zawsze jeszcze mają dwie lub trzy powłoki; nawet rękawy idą za tém prawem i przyznać musimy, że nie lepiej nie wygląda, jak suknia wycięta z powłokami ujętemi za pomocą wstążek i kwiatów, w kształt koszyków, i z rękawami podwójnymi, spiętymi kwiatami i sercami dyamentowemi lub daliaми.

Kołnierzyki są bardzo małe i z koronek w kilka pasków; mankietki także koronkowe, robią podwójne, tak, że jedna połowa wywija się na rękaw, druga na rękę; obie części rozdzielają paski wstawione i wstążki.

Z wieczorowych ubiorów wymienimy tu jeszcze kilka. Suknia atlasowa z głęboko wykrojonym stanikiem i krótkimi rękawami. Peleryna koronkowa. Szwedzkie rękawiczki. Czepeczek z angielskich koronek, zdobny wstążką. Buciki aksamitne.

Suknia taftowa z wykrojonym stanikiem i krótkimi rękawami. Długie rękawiczki aksamitne bez palcy. Czepek z aksamitu i koronek. Trzewiki atlasowe.

Suknia paliowa aksamitna, z przodu otwarta, na powłóce z białej mory, na niéj utrzymywana za pomocą kokard pompadurowych.

Na koncertach i w teatrze najwięcej ukazuje się turbanów i strojów głowy orientalnych. Na balach i wieczorach stroje włosów najczęściej są złożone z kwiatów, półgirland i t. d.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak z długim wyłożonym kołnierzem. Paletot w jasnym kolorze, wawowany. Kamizelka bez kołnierza. Półkoszulce czarne jedwabne.
2. Arabski strój głowy z ciężkiego jedwabiu, złotem przerabianego, ze złotą fręzlą. Suknia z bladzielonej mory. Powłoka aż do połowy rozcięta i obrzeżona szeroką koronką. Podwójna berta u stanika. Krótkie rękawy. Podwójne bransoletki z labędzika.
3. Strój głowy jak u 2. Suknia z białego jedwabiu z podwójną powłoką, której brzeg kolorowo haftowany jedwabiem, fręzla srebrna ozdabia. Stanik i rękawy jak u 2.
4. Kapelusik różowy z podobnym piórem. Suknia z różowego jedwabiu, z podwójną powłoką, z których spodnia z zielonego jedwabiu, obie zaś ozdobione koronką. Ramiona otacza berta koronkowa. Podwójne bransoletki.
5. Kapelusik jedwabny, złotem tkany. Kutasy perłowe. Suknia perłowa, koronkami i rozetami zdobna.